

KSIĄŻNICA LITERACKA № 1.

ADAM MICKIEWICZ.

POD STOCZKIEM

(TYDZIEŃ MIODOWY REKRUTA)

z słowem wstępnem
WIKTORA GOMULICKIEGO.

H. Ogiński



WARSZAWA.

1911.

Cena kop. 20.



POD STOCZKIEM.

Wydawca i Redaktor **Stefan Sierzputowski.**

KSIĄŻNICA LITERACKA № 1.

ADAM MICKIEWICZ.

POD STOCZKIEM

(TYDZIEŃ MIODOWY REKRUTA)

z słowem wstępnem

WIKTORA GOMULICKIEGO.

**Kolekcja
Emila Kornasia**



WARSZAWA.

1911.



CM KFK 327032

Druk L. Bogusławskiego, Świętokrzyska 11.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr 91/2014/CM



Zażądano odemnie wstępu do opowiadania Mickiewicza, które w oryginale francuskim nosi tytuł: „Miodowy miesiąc nowozacieżnego“. Pacyfista, wszelkiej wojny przeciwnik, pisać mam o utworze, sławiącym walkę orężną. Wyglądałoby to na ironję, gdyby nie chodziło o poetę miary tak wielkiej, że względem niego szczerłość najzupełniejsza nietylko jest dozwolona, lecz—obowiązuje.

Każdy, kto gorąco, na śmierć i na życie, kocha wyznawaną przez się ideę, nie zniży czoła przed największą nawet powagą, gdy ona tej idei staje na wstręcie. Zmuszony wybierać pomiędzy Mickiewiczem a Chrystusem, bez wahania odstąpi Mickiewicza. Ale wpierw będzie się starał za wszelką cenę zrozumieć go i usprawiedliwić.

Mickiewicz, nazywający siebie Litwinem, był naprawdę w każdym calu typowy Polak. Duszę miał wojowniczą i zadzierzystą. Całe życie upłynęło mu na walkach. Zaczął od walki z pseudoklasycyzmem i krytykami, skończył na formowaniu legjonów, mających podkopać potęgę Rosji. Zawsze był gotowy rwać się do korda przeciw temu, kogo uważał za swego wroga, a mówiąc ściślej: za wroga swoich przekonań i swoich umiłowań. Gdy jednak przeciwnika rozgrzeszył w swem sumieniu, rękę mu podawał i do serca go przyciskał.

Jako odtrącony od Maryli przez magnata, krył w zanadrzu „błyskotkę dla jasnych panów“, a na emigracji z jasnymi panami bratał się i zasiadał z nimi przy jednym stole, biesiadnym i obradowym. W pierwszej młodości, każdy „Moskal“ był mu nienawistny, potem wyprawiał poetyckie misywy do „przyjaciół-Moskali“, a w postaci Rykowa wyobraził rdzennie rosyjską, zdrową, pocziwą naturę.

Walczył nawet z Bogiem i tytanowe wyznania mu rzucał, a potem w proch przed nim upadł, sługą się jego najżarliwszym uczynił.

Dwuch tylko cnót ewangelicznych do koń-

ca życia przyswoić sobie nie zdołał: nie umiał przebaczać nierozgrzeszonym przez siebie wrogom i—zbyt wielką władzę przypisywał orężowi. Nawet nauka Towiańskiego, całkowicie na ewangelii oparta, nie potrafiła tych chropowatości jego ducha ostatecznie wygładzić.

Na usprawiedliwienie poety wiele przytoczyć można. Pochodził z drobnej, zaściankowej szlachty, z rodu sejmikowych krzykaczów i rębajłów. Lata jego chłopięce, w których dusza na cały żywot się kształtuje, przypadły na czas boskiej niemal potęgi Napoleona, mieczem i ogniem świat podbijającego. W młodości „władza“ gnębiła go przemocą materialną, budząc żądzę odwetu tą samą bronią. Gdy bawił na zesłaniu w Cesarstwie, miał wciąż przed oczyma musztry, rewje, parady, cały nadzwyczajny, uniformowy i arsenałowy, przepych państwa przeważnie militarnego. Na emigracji, żył w otoczeniu wyższych i niższych oficerów wojska polskiego, którzy rozprawiali nieustannie o odbytej kampanji, o stoczonych bitwach, o tryumfach oręża, o marszach, atakach, fosach, okopach, reductach. Widział dwie rewolucje w Paryżu, współdziałał w ruchach powstańczych w Poznańskim, zajmował się gorąco wojną wę-

gierską, wreszcie rozognił mu wyobraźnię, rozgrzał krew i do czynu, szalonego niemal, popchnął—Sewastopol.

Idea pokoju, dziś zaledwie pierwsze, nieśmiałe kroki na ziemi stawiająca, wówczas była dopiero lotną, na wyżynach ducha unoszącą się, mgławicą. Dla duszy wieszczą, widzącej nie tylko obecność, lecz i przyszłość, obcą ona być nie mogła; ukazywała mu się wszakże w takim oddaleniu i na takiej wyżynie, że o natychmiastowem wcielaniu jej nawet nie myślał. To właśnie jest powodem, że nas, pacyfistów, już dziś niektóre miejsca poezji Mickiewiczowskiej rażą—następców zaś naszych o wiele więcej jeszcze razić będą.

Nie mówiłbym tu zresztą o tem wszystkim, gdyby opowiadanie poniższe inny miało początek i inne zakończenie. Do tych tylko dwóch punktów stosują się moje uwagi. Poza tem, utwór jest świetnym obrazem walki i zwycięstwa, niezwykle oryginalnym w pomyśle i artystycznie doskonałym w wykonaniu.

Jakkolwiek opowiadającym jest tu żołnierz-ochotnik, my w ciągu całego opowiadania słyszymy głos Mickiewicza. I gdy nam poeta przedstawia kapucyna „w habicie i na koniu“, który „w jednej ręce miał lancę, a dru-

gą błogosławił krzyżem lud, nogi mu całujący“, my dopatrujemy się w tym kapucynie samego poety.

Skąd bierze się w nas wyrozumiałość dla tej bitwy, a właściwie dla jednej tylko ze stron, udział w niej biorących? Oto dlatego, że prawo boskie i prawo ludzkie, zabraniając zabijać, pozwala jednak bronić się, a myśmy pod Stoczką w obronie bytu i godności swojej stawali...

Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy napadającym a broniącym się, pomiędzy zaborcą a jego ofiarami. Synowie dawnej Rzeczypospolitej polskiej, choć z konia prawie nie zsiadali, i nawet śpiąc, głowicę miecza dzierżyli, w działaniu wojennym wyobrażali częściej stronę bierną, niż czynną. Nie byli-to urodzeni wojownicy z instynktami lwów i orłów, jak na przykład Rzymianie albo plemiona mongolskie, gdyż ani klimat, ani fizyczne właściwości gruntu, ani nawet płaski, sosnami rozzieleniony, zbożem wyłaczany krajobraz do tego ich nie usposabiał. Za oszczep, za miecz, za strzelbę chwyтали Polacy tylko w obronie tego, co im było najdroższe: swych niewiast i dzieci, swych domostw z sośniny, kościołów z modrzewia, swych lasów, pól, łąk, rze-

czułek—przedewszystkiem zaś w obronie swej niepodległości. I stądto w mowie ich oręż nazwany został *bronią*.

W duchu najzupełniej narodowym przedstawił Mickiewicz rwącego się do boju Polaka jako rozkochanego nowożeńca. Polacy, oddając życie za Ojczyznę, spełniali tę ofiarę z twarzą pogodną, z sercem wesołym. Szli na wojnę jak na zabawę, bój nazywali „tańcem”. Słynne były przez kilka stuleci ich „tańce tatarskie“!..

Pod Stoczkiem została stoczona pierwsza z bitew 1831 roku—tych bitew, nazawsze dla Polaka pamiętnych, które były jakby rozdziałami wspaniałej, choć krwawej i tragicznie zakończonej, epopei. Ta bitwa pokazała nieprzyjacielowi, rodakom i światu całemu: co Polacy mogą, i co Polacy—mogli-by...

Mickiewicz gienjalnie odtworzył niewielki rozmiarami, lecz potężny ożywiającym go duchem, epizod. Rozmyślnie też nadał mu eposowe, klasyczne znamię, nie wymieniając w opowiadaniu ani jednego nazwiska. Ale stało się z tem, jak z Thorwaldsenowskim posągim księcia Józefa. Rzeźbiarz, chcąc bohatera narodowego unieśmiertelnić, dał mu kształty klasyczne i prawie nagiego odział tylko w lek-

ką, rzymską tunikę. Życie i *vox populi* okazały się jednak doskonalszymi od niego artystami. Książę Józef przeszedł do nieśmiertelności w pięknym stroju ułana polskiego, w malowniczym *szako*, w burce, z fantazją na ramiona zarzuconej...

Mówiąc dziś o Stoczku, nie uważamy za potrzebne przemilczać nazwiska bohatera, o którym w opowiadaniu mówi się tylko: „nasz dowódca”. Według nas, nie tylko uroku chwili nie osłabia, lecz owszem wzmacnia go jeszcze wymienienie generała Dwernickiego, który pod Stoczkiem okrył się chwałą nieśmiertelną. Co prawda, inaczej się przedstawia ten bohater nam, patrzącym nań z oddalenia lat osiemdziesięciu, a inaczej przedstawiać się musiał Mickiewiczowi, który z nim fajkę palił i grywał w warcaby. Nie stawia się posągów żyjącym (Ordona poczytywał Mickiewicz za nieżyjącego). Na podobną bez... ceremonjalność zdobywać się mogli, względem siebie samych, tylko ostatni cesarowie rzymscy, a za dni naszych—cesarz Wilhelm-Samochwalca.

Pamięć Stoczka, tak samo jak Raławic, utrwaliła się w piosence. „Grzmia pod Stoczkiem armaty...” — nuciły i dotąd nucą tysiące ust polskich. Piosenka podała nam ton za-

sadniczy tego sławnego boju. Pamiętał o tym tonie Mickiewicz, i w jego opowiadaniu grzot dział rozlega się donośnie.

O czym innym jednak, ważniejszym może, zapomniał.

Tradycja mówi, że pod Stoczkiem bataljon nowozacieżnej piechoty naszej, gradem kul i kartaczów zasypywany, murem stał w miejscu, wyśpiewując na cały głos: „Jeszcze nie zginęła...” Ryki armat zagłuszyć śpiewu nie mogły. Czemuż wieszcz swem Homerycznem słowem tego epizodu nie uśmiertelił!

Śpiewający bohaterowie... Tego nie znała nawet Grecja Peryklesów. To było obce nawet Sparcie Leonidasów.

Wiktor Gomułicki.

Semaine de miel d'un conscrit.

Zazdroszczę Atyli, który stoczył tysiąc bitew, a w tysiącznej jeszcze czuł w sobie to, co nazywał *gaudia certaminum*, czyli roskosz rzezi. Oj, byłto krwawy rozpustnik ten stary hetman! Co się mnie tyczy, piastującego stopień sierżanta lekkiej artylerji, wyznaję, że naprawdę zakochany byłem w wojence, ale tylko przez pierwszy tydzień mego wojskowego zawodu, i że w Atylowej roskosz raz tylko jeden zasmakowałem. Z tej-to przyczyny nigdy już nie wyjdzie mi z pamięci pierwszy miodowy tydzień i pierwsza bitwa.

Pierwsza bitwa ma szczególniejsze podobieństwo z pierwszą miłością. Ileż nadziei! ile złudzeń! Przed tą uroczystą akcją, która rozstrzyga o losie narodów, lada rekrut czuje się powołanym do odegrania co najmniej roli... jakiego bohatera historii lub romansu.

Przychodzi wreszcie do rozprawy: stajesz do niej z niecierpliwością i pewnym niepokojem, doznając to trwogi śmiertelnej, to znowu szalonej wesołości; już cię strach przeszywa, już cię podnosi pycha tryumfatora. W jednej godzinie przechodzisz przez tłumy wzruszeń i zbierasz wspomnienia na całe życie! Lecz aby to czuć z całą mocą, potrzeba mieć serce dziewicze, serce rekruckie.

Powiedział ktoś, że każdy człowiek może skomponować dobry romans, opowiadając tylko po prostu historję swej pierwszej miłości. To spostrzeżenie zachęciło mię do opisania pierwszej bitwy, w której uczestniczyłem.

Trzeba wiedzieć, że ta bitwa jest tylko epizodem sławnej wojny, że w niej odnieśliśmy świetne zwycięstwo, i że w swoim czasie zjednała nam podziw ludów europejskich. Wprawdzie dawne to czasy, bo ludy dobrze już zapomniały i o naszych klęskach i o naszych tryumfach. Mimo to żołnierz polski nigdy nie zapomni o bitwie pod Stoczkiem.

Po rewolucji 29 listopada postanowiłem wstąpić w szeregi i rozmyślałem, czy do piechoty, czy do jazdy. Ażeby zrobić stanowczy wybór, przebiegałem ulice Warszawy, przypatrując się bacznie mundurom różnych pułków.

Najprzód zatrzymałem się przed bataljonem grenadierów, którzy maszerowali w ściśniętych szeregach, z szewronami na ramionach. Byłyto resztki legionów Napoleońskich. Kiedy przechodzili, ustępowano im z uszanowaniem i szeptano w tłumie: „To mi żołnierze! to nasi obrońcy!“ Zazdroszcę im—pomyślałem — piękna to rzecz być grenadierem! I zbliżyłem się do oddziału, a zajmwszy miejsce obok dobosza, maszerowałem krokiem grenaderskim, upatrując komendanta, któremu chciałem ofiarować swoje służby.

Wtem, na drugim końcu ulicy, ukazał mi się nowy meteor wojskowy. Byłto krakus na białym koniu, w białej sukmance, w czerwonej czapeczce z białym piórkiem, który jak łabędź przerzynał czarne fale mieszczuchów. Ślicznie wymijał on koniem; pieszych witał skinieniem głowy, z kawalerzystami ścisnął się za ręce, a pięknym damom, stojącym w oknach, posyłał wdzięczne pocałunki. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu; mężczyźni klaskali, kobiety uśmiechały się w milczeniu, a piękny krakus stał się bożyszczem chwili.

Przyszło mi zaraz na myśl, że w mundurze krakowskim, na mój wiek i wzrost, będzie mi bardziej do twarzy. A tak objawiło

mi się moje właściwe powołanie: Bóg mię stworzył krakusem!

Zwróciłem się więc w stronę koszar jazdy; ale w połowie drogi wpadłem w niezmierny tłum, który mię porwał za sobą i uniósł ku rogatkom. Lud się cisnął na spotkanie nowo nadciągających szeregów. Osobliwsza figura jechała na przodzie: było stary kapucyn w habicie i na koniu; w jednej ręce miał lancę, a drugą błogosławił krzyżem lud, który mu nogi całował. Za kapucynem postępowało tysiąc strzelców z lasów augustowskich. Mieli przewieszone dubeltówki i wielkie torby borsucze z pazurami i wyszczerzonymi zębami, bielejącymi na zielonych kurtkach. Drugi tysiąc wieśniaków, uzbrojonych w krzywe kosy i siekiery, zamykał pochód.

Nigdy wejście najpiękniejszych pułków, nawet wejście księcia Józefa na czele zwycięskich legjonów, nie wzbudziło takiego zapалу, jak ten, z którym warszawianie witali torby borsucze i łyczane łapcie. Nie byłyto już oklaski, ani uśmiechy, ale krzyki, grzmiące *hura!* i błogosławieństwa, pomieszane z głośnym płaczem. Lud bowiem dziwnym swoim instynktem umiał chwycić wzniosłą i piękną stronę obrazu. Na widok tych ka-

planów, tych wieśniaków, co porzucili cele klasztorne i swoje bory, ażeby się bić z wrogiem ojczyzny, lud zrozumiał całą grozę niebezpieczeństwa oraz pojął z całą ufnością, że to jedyny środek obrony.

Wzięła mię nagle pokusa porwać natychmiast za kosę lub za dubeltówkę i stanąć do szeregu z chłopami, by z nimi podzielać tryumfalne wejście do stolicy. Ale jakże to zrobić? jak nadać sobie ruchy zuchowate i wyzywające kosynjera mazowieckiego lub wyraz ponury i dziki strzelca znad Niemna? Jak wyrównać im wzrostem i szerokością pleców? Wśród tych olbrzymów wyglądałbym jak królik między wilkami.

Cóż więc pocznę ze sobą? Czy mam być krakusem, czy grenadjerem? Niepewność ta dużo mię kosztowała.

Znajomy mi pułkownik spotkał się ze mną w przechodzie, i klepiąc mię po ramieniu, rzekł:

— Dowodzę oddziałem partyzantów; część moich ludzi wyszła już w pole, ja sam dziś wyruszam z Warszawy. Potrzebuję kanonjerów; może wiesz, gdzie ich znaleźć?

— Wiem o jednym — odrzekłem, przy-

bierając postawę wojskową.—Potrzebujesz kanonjera: oto go masz!

— Zgada! — rzekł pułkownik.—Naciągaj mundur i staw się u mnie dziś wieczór punkt o dziewiątej; czy rozumiesz?

W taki sposób werbowano żołnierzy w czasie naszego powstania.

Tegoż dnia o jedenastej w nocy maszerowałem umundurowany przy swojej armacie.

W ciągu marszu ćwiczyłem się w użyciu tej broni, a tyle dokładałem pilności, że po trzech dniach mianowano mnie sierżantem i pod moje rozkazy oddano armatę. Zawistni utrzymywali, że stopień mój zawdzięczałem osobliwym względom pułkownika.

Bądź co bądź, sam się zdziwiłem, zmieszalem i niemal zawstydziłem z powodu tak nagłego awansu. Zawróciło mi się w głowie, i dopiero po kilku godzinach osłupienia zacząłem uczuwać wpływ tej nowej godności. Mimowolnie przybrałem minę marsową i poważniejszą; wyciągnąwszy uroczyście prawą rękę, położyłem ją na mojej własności, na wylocie armaty. Ten kawał bronzu — myślałem sobie — będzie filarem w świątyni mojej sławy; będzie pierwszym stopniem w rycerskim zawodzie, a może... i na tron mię

zawiedzie! Dobrze wycelowane działo rozstrzyga nieraz los wojny. A Napoleon od czego zaczął, jeżeli nie od stopnia kanonjera?

Pelen tych marzeń, zakochałem się w swojej spiżowej armacie jak w pannie i odtąd zawsze byłem przy niej. Badałem jej wady i przymioty; roztrząsałem charakter i poznałem najdokładniej cały jej skład i naturę zarówno fizyczną, jak moralną. Tak dobrze wbiła mi się w pamięć, że zrobiłbym z pamięci jej portret. Dźwięk jej głosu znałem tak dobrze, żebym go mógł być rozróżnić wśród huku najżywszej kanonady, choćby pod Lipskiem lub Ostrołęką. Kochana moja armatko! cóż stało się z tobą? w czyjeś ręce popadła? Zapewne nikt cię tak nie popieści, jak ja cię pieściłem. Ta myśl mię jedynie pociesza. Była to wprawdzie niewielka ośmioletka, ale dla mnie była ogromną, bo brzemienna całą moją przyszłością. Zresztą dobrze osadzona, łatwa do manewrowania i dziwnie celnego strzału.

Cały dzień ledwo mi wystarczał na spełnienie obowiązków przy kochanej armacie, a i przez noc nie przestawałem myśleć o tym przedmiocie mojej miłości. I tak, jednej nocy śni mi się bitwa, a naprzeciw siebie ko-

góż widzę? — feldmarszałka Dybicza! Zaraz biorę go na cel — — paf! i moja kula przecina go na dwie połowy. Puszczam się, aby oderwać mu głowę i jeszcze ciepłą zanieść do naczelnego wodza, księcia Radziwiłła, ale trup Dybicza tak ostro się bronił, że aż wybiłem się ze snu i w rzeczywistości — zamiast głowy moskiewskiego wodza — trzymałem głowę śpiącego obok mnie kanonjera... Innej nocy gorsza rzecz mi się zdarzyła: śniłem, że jazda moskiewska wpadła na nas niespodziewanie, i mnie naprzód zabito, potem wycięto moich kanonjerów, a nareszcie kirasjer moskiewski siadł na mojej armacie jak na koniu i zaczął ją zagwałdzać, spoglądając na mnie okiem pogardliwym. Wtedy uczułem wszystkie męczarnie męża Lukrecji i ojca Wirginji! Chociaż byłem już trupem zimnym i skostniałym, niemniej dobywałem wszystkich sił, aby dać znak życia, i pasując się ze sobą, udało mi się nareszcie tak tego wrzasnąć, że m się i sam przebudził i zaalarmowałem cały obóz. Zerwawszy się na nogi — a właśnie dzień poczynąło — szukam oczyma mojej armaty i widzę z niemalą radością, że jest, że spoczywa wolna i spokojna na swej lawecie. Otwarta jej paszcza zdawała się

wciągać chłodek poranka, a lśniąca powierzchnia odbijała pierwsze promienie słońca. Położyłem się znowu na mokrej ziemi, ale tym razem—przez ostrożność—trzymałem ręką za szprychę, ażeby bronić mego skarbu przeciw rzeczywistej lub sennej napaści.

Tak przeszedł cały tydzień — mój pierwszy tydzień po zaślubieniu pięknej ośmiofuntówki, tydzień miodowy sierżanta artylerji, najszczęśliwszy tydzień w mojem życiu! Każdą chwilę miałem zajętą w przekonaniu, że już osiągnąłem cel mego bytu na świecie; dusza moja przeszła całkiem w ukochaną armatkę.

Tymczasem zbliżaliśmy się coraz bardziej do brzegów Wisły; lody puściły już w wielu miejscach, i widać było tu i owdzie występującą wodę. Pułkownik nasz, z tyką w ręku, pierwszy się puścił na lód, brodząc w wodzie po kolana; potem rozkazał nam iść za sobą. Iść za nim—i to z naszymi armatami—po tak słabym lodzie? Na ten rozkaz zbladłem jak śmierć, cała bowiem moja przyszłość urojona mogła utonąć. Nakoniec przeszliśmy szczęśliwie i na drugim brzegu stanęliśmy z okrzykiem: Niech żyje Polska!

Tego samego wieczora nastąpiło połącze-



nie się z korpusem, przodem wysłanym z Warszawy. Oczekiwał on nas niecierpliwie; młodzi bowiem żołnierze wysokie mają wyobrażenie o potędze artylerji, a bardzo ich niepokoiło, że w przededniu spodziewanej bitwy nie mieli dział. Postłyszeliśmy turkot kół armatnich, cały obóz nie posiadał się z radości.

— Nasza artylerja nadciąga! Niech żyje artylerja!—wołali ze wszystkich stron, wybiegli na nasze spotkanie i postawili nas w środku obozu.

My także z zapalem powitaliśmy naszych towarzyszy. Dotąd odbywając marsze w osamotnieniu, teraz znaleźliśmy się w tłumie dzielnych żołnierzy, których liczba wydawała się znaczną na oko. To podniosło naszą ufność. Wszystkiego jednak nie było więcej nad dwanaście szwadronów, zajmujących szeroką przestrzeń. Dumnie spoglądaliśmy na las zatkniętych lanc, których nowe chorągiewki iskrzyły się barwami, nie znajdując jeszcze krwi i kurzu. Po wesołej i hucznej wieczerzy pokładaliśmy się spać, kołysani dźwiękami muzyki wojskowej i śpiewem mazurka.

O świcie, kiedy korpusik nasz wchodził do wsi, doleciały nas pomieszane krzyki. Zatrzymujemy się; wysłano na zwiady, i okazało

się, że to okrzyki zwycięstwa! Nasza bowiem awangarda pojmała kilkudziesięciu kozaków. Pierwszy to tryumf! Trzeba było widzieć, jak cieszyliśmy się nimi. Kozacy ci, brodacze rozbrojeni, szli piechotą ze spuszczonei głowami i kwaśną miną. W miarę jak przechodzili koło nas, nasi młodzi żołnierze przedrwiwali z nich, klęli lub grozili. I mnie brała chętka robić to samo, ale obowiązek, przywiązany do stopnia, nie pozwalał na to, więc, surowo ich gromiąc, rzekłem:

— Polacy! szanujcie nieszczęście! Wątpliwy bywa los wojny! Śmierć naszym wrogom! Litość nad zwyciężonymi! Niech żyje Polska!

Żołnierze uspokoili się, jak piorunem rażeni wspaniałością mych uczuć i sentencjonalną wymową.

Od niejakiego czasu zwrócił moją uwagę jeden stary kanonjer, jadący obok mnie, który ciągle się wspinał na strzemionach, zadzierał głowę, wyciągał szyję ponad ramiona swych towarzyszy.

— Za czem tak patrzysz, Mateuszu?

— To te bestje, panie sierżancie; niech ich tam kaci porwą...

I wskazał palcem na wzgórze, będące przed nami. Ujrzałem wtenczas, że się coś czerniło na szczycie wzgórza. Byłyżto krzaki, czy kaszkiety piechoty moskiewskiej? Nie miałem czasu przypatrywać się dłużej, albowiem nadbiegli adjutanci, wołając z całej siły:

— Artylerja naprzód! stawać do pozycji!

Ruszyliśmy, co koń wyskoczy. Padł strzał armatni, i kula, zabiwszy nam konia, osypała nas ziemią i poleciała dalej, odbijając się. Zajęliśmy pagórek wprost nieprzyjaciela, który podwoił ogień.

Szeroka płaszczyna, obwiedziona krzakami i borem, roztaczała się przed nami. W środku niej na wzgórku zatoczyli Moskale baterję dwunastu dział ciężkiego wagomiaru, które nas osypywały kulami i granatami. Za baterję widać było gęste szeregi jazdy, stojącej nieruchomie. Nasza jazda podobnież stała spokojnie, zostawiając czas działania artylerji.

Zauważyłem, że żołnierze różnej broni zachowują podczas bitwy postawę i wyraz twarzy właściwy sobie. I tak artylerzysta nie ma kawaleryjskiej rzutności, ani cierpliwości piechura, lecz baczny na komendę, szybki i dokładny w każdym poruszeniu, zdaje się zachowywać zimną krew, chociaż oczy jego, dy-

mem gryzione, krwią zaszłe, brwi zmarszczone, twarz blada, usta ściśnięte, mowa krótka i twarda, wyrażają zażartą wściekłość, tłumioną i zogniskowaną.

Śród tego ognia, mimo że śmierć zmiała głowy, nie przestano żartować; każdym razem, gdy kula odskakiwała, młodzi żołnierze nieomieszkali rozmawiać z nią i dawać jej rady. Gdy odbijająca się kula mogła być widzianą zdaleka, jak skakała po polu, jeżeli więc szła nabok, na lewo, wołano na nią: gdzie lecisz, ślepa! bierz się na prawo; a jeżeli szła prosto, zachęcano ją: dobrze! dobrze! —i tak rozmawiano z nią, dopóki nie wpadła w sam środek linii nieprzyjacielskiej, i wtedy dopiero dawano jej brawo.

Już nie wiem, ile godzin trwała ta kano-nada. Chociaż gorączkowo uwijaliśmy się przy działach, jednak zabawka ta ciągnęła się za długo, aby nie pragnąć nadejścia nocy. Artylerja rosyjska miała nad nami widoczną przewagę—tak co do liczby, jak i wymiaru dział. Ubito nam już kilku ludzi, wielu było rani-nych, a wszyscy, lubo nadzwyczaj zmęczeni, nie upadali przecież na duchu, i nikt ani myślał o odwrocie.

Naraz od lewej strony okropnie ryknęły

działa. Moskale właśnie tam postawili nową baterję, którą nas ostrzeliwali z boku. Zwróciliśmy dwie nasze armatki przeciw tej nowej zaczepce, z którą trzeba było pogadać; lecz położenie nasze stawało się coraz przykrzejszem, bo sześcioma połowemi armatkami odpowiadać na dwadzieścia dział ciężkiego wagomiaru—to nie przelewki. Nasi żołnierze na widok tej nierówności sił wydawali się być pomieszani. Już ruchy ich słabły, już wystrzały nasze rzadziej się odzywały, a nawet dykteryjki i żarciki jakoś ustały.

Można wnosić, że nasz dowódca czekał na to, aż Moskale rozdzielały swe siły, aby skorzystać z tego momentu i uderzyć na nich; tak przypuszczam, lubo nie kuszę się rozprawiać o planie bitwy. Tyle wiem, że w najkrytyczniejszej chwili usłyszeliśmy od lewej strony tentent konnicy pędzącej galopem, i w kilka minut potem owa baterja umilkła, gdyż była zdobytą.

Nasz dowódca zawrócił i poskoczył ku głównej sile naszych szwadronów, wołając:

— Naprzód kłusem! naprzód wiaral

I cała nasza jazda, uszykowana w dwa szeregi, posunęła się, mijając naszą baterję.

— Idą do szarży! — wołali nasi kanonjerzy, i zaraz zaprzestaliśmy strzelać.

Jakiż-to widok! Młodzi ułani z zapalonym wzrokiem, rozognioną twarzą, rwali się niecierpliwie naprzód, ale radzi nie radzi, musieli słuchać surowych rozkazów dowódcy, który ciągle powtarzał:

— Kłusem! naprzód! kłusem!..

Widać było z ruchu chorągiewek, jak gorączkowo drgały ręce żołnierzy. Nakoniec ozwały się trąby, zniżyły chorągiewki, i już kopnięto się na nieprzyjaciela. Naprzód! galopem! naprzód! wiara!

Popędzili! — Myśmy zostali przy naszych armatach, nic nie robiąc, a nawet nic nie myśląc. Artylerja — niedawno tak ruchliwa i hałaśliwa—wydawała się skamieniałą. Dusze nasze uleciały daleko i usiadły na ostrzach gro-tów ułańskich. Oto już blisko są Moskali! Już moskiewskie szeregi uwijają się, ażeby ich przyjąć. Kanonjerzy powyłazili na lawety, na jaszczyki i patrzą w przestrzeń, podani naprzód, z gębą otwartą; a była taka cisza, że usłyszałbyś lot muchy. Każdy z nas czuł, że od tego starcia się zawisł nasz los, los naszego wojska, może i ojczyzny! Byłato chwila

oczekiwania i strasznej niepewności; szczęściem, trwała kilka tylko minut.

Nasi ułani starli się z Moskalami na wyżynie. Obie linje zetknęły się ze sobą i pomieszały. W całej tej masie zawrzało — i cała zniknęła jak tuman kurzawy, pędzonej wiatrem.

Nie wiem, kto taki, lecz ktoś wśród nas krzyknął na całe gardło — — okrzyk ten przerwał grobową ciszę, ogłaszał bowiem zwycięstwo, wszakże nikt mu nie wtórował, my bowiem, młodzi żołnierze, jeszcześmy nie rozumieli ani odgadywali skutku tej bitwy, a przytem lękaliśmy się oddawać przedwczesnej radości.

— Poczekajmy! — ten i ów mówił. — Dość niema nic pewnego, nic nie widać, wszyscy gdzieś się podzielili..

Nareszcie część tej masy, którą widzieliśmy, jak zginęła nam z oczu, zaczęła się ku nam zbliżać. Po kolorach poznaliśmy naszych ułanów i po okrzyku wojennym: *Jeszcze Polska nie zginęła!*...

Już niema co wątpić: zwycięstwo przy nas!

Zbliżająca się masa przedstawiała osobliwy widok. — Widać w niej było mnóstwo pie-

szych żołnierzy rozmaitej broni, przytem furgony, jaszczyki, działa... Byłito jeńcy moskiewscy, zabrani z artylerją i całym taborem.

Nie potrafiłbym opisać naszej radości, tej szalonej radości! Jakto?! cała ich artylerja — w naszych rękach!.. Rzuciliśmy się obces na te armaty, ściskając je, pieszcząc się z niemi, a ja sam na chwilę zapomniałem o mojej kochance, ośmioletówce.

Piękneż-to były te rosyjskie armaty—takie ogromne, nowe, doskonale umontowane i opatrzone we wszystko.

— Patrzno, panie sierżancie — wołał kanonjer Mateusz—patrz, jakie czerwone, jakie błyszczące armaty mają te przekłete Moskale!

Zacząłem rokoszną ręką głaskać wypolerowaną powierzchnię spiżową, a wszyscy powtarzali chórem:

— Ależ-to się świecą te moskiewskie działa!

— A jaki kaliber! — zauważył jeden kanonjer. — To mi to kaliber! to mi to pułkawk!

Zacząłem mierzyć wylot granatnika, a żołnierze powtarzali:

— To nie żarty taka paszcza!

Potem, kiedyśmy zaczęli oglądać uprząż, znowu chórem wołano:

— Ależ-to tęgi rzemień mają te przekłete Moskale!

Nie zgadnie nikt przecież, co nam sprawiło największą radość. — Oto ni mniej, ni więcej, jak zwykły owies, zabrany łupem. Nasza jazda nie miała już furaju, a Moskale mieli go poddostatkiem; ich furgony, jaszczki, lawety nawet pełne były owsa. Żołnierze rzucili się nań łapczywie, napelniając nim worki, ładownice, kieszenie i opowiadając, że nigdy jeszcze nie widzieli tak pięknego owsa.

Nadjechał wódz, i na jego widok zagrział okrzyk zapału i uwielbienia. Śnać bardzo był zmęczony, bo choć dzień chłodny, pot płynął z niego kroplami. Otoczyliśmy go gęstym tłumem. Śród ogólnego poruszenia i wybuchów radości on jeden był spokojny i milczący, choć widocznie wzruszony.

— Dzieci moje—rzekł do nas—przrzekłem poprowadzić was na nieprzyjaciela, wy przrzekliście pobić go, a tak i ja i wy dotrzymaliśmy słowa.

Taki był koniec pamiętnego dnia pod Stoczkiem.

Z zapadającą nocą zaczęły się opowiadania przy obozowych ogniskach. Słuchaczów nie było, wszyscy bowiem mówili; wszyscy się dzielnie spisali w bitwie, wszyscy mieli dowcip — — bo wszyscy byli szczęśliwi.

Jeżeli przyjdzie dla mnie ta błogosławiona godzina, że jeszcze będę mógł walczyć w obronie ojczyzny, widzieć armję moskiewską w popłochu, odszukać moją ukochaną ośmioletówkę i miotać z niej kule na złociste dachy stolicy carskiej; natenczas nazwę się prawdziwie szczęśliwym; a jednak nawet śród tryumfów nie potrafiłbym czuć tego, czego doświadczał w pierwszej bitwie, w bitwie pamiętnej pod Stoczkiem.

Paryż, 1835.



Od Wydawcy.

Niniejszy utwór Mickiewicza, napisany w języku francuskim, był drukowany w r. 1835 w czasopiśmie francuskim „Revue du Nord“ pod tytułem: „Semaine de miel d'un conscrit“.

Przekład ukazał się pod tytułem zmienionym: „Moja pierwsza bitwa“ — w dwóch wydaniach polskich dzieł Mickiewicza, w wydaniach zresztą mało rozpowszechnionych.

Bitwa pod Stoczkiem — jedna z najpamiętniejszych w dziejach Polski porozbiorowej — odbyła się w dniu 14 lutego roku 1831. W niej Dwernicki pobił korpus rosyjski Geismara.

DODATEK DO № 1.

KSIĄŻNICY LITERACKIEJ.

NAMIO OCZIAI.

RZEMIOSŁO

(DZIEŃ MISJONARZA).

Nowela

z oryginału japońskiego
specjalnie dla Książnicy Literackiej przełożona *)

przez

Cz. i M. MISZKIEWICZÓW.

— Chociażbyś i lachmany miał na sobie, jeżeli tylko z czystym sercem oczekujesz pomocy bożej...

Zmieniwszy w ten sposób słowa niewiadomo ile razy na dzień powtarzanego kazania, nagle spostrzegł się i zwrócił uwagę na swój wygląd: na odstającej kostce prawej ręki z brudu uformowały się czarne, wąskie linje, rękawy bawelnianego ubioru opatrzonego w herby, który miał na trykotowej, szarej koszuli, były poszarpane, i wypłowiawszy, zrobiły się żółtymi. Za każdym powiewem zimnego jesiennego wiatru, strząsającego zeschłe liście wiśni, uczuwał od stóp przejmujące lodem zimno; lecz gdy po-

*) W oryginale japońskim drukowana w r. 1910,

myślał, że to przecie dla rozpowszechnienia zasad boskich, dla zbawienia nieszczęśliwych ludzi, gotów już był bezustanku mówić nawet trzy, nawet cztery godziny, nie ruszając się z miejsca.

— Czemże jest bogactwo, czemże jest sława? Iżby tylko dusza była czysta...

Ciągnąc dalej, mimowoli spojrział na słuchających. Liczba ich wynosiła około trzydziestu. Był tam wysłużony żołnierz z zawieszonym u pasa w miejsce miecza zawiniątkiem; był tam mężczyzna w czapce sportowej, który, przykucnąwszy, czytał gazetę i tylko od czasu do czasu spoglądał w jego stronę; była tam grupa młodzieży, zdaje się, powracającej z biblioteki. Reszta—to szereg bluz i „futako“: widocznie robotnicy bez zajęcia.

Tymczasem przemiął szybko od strony muzeum parokonny powóz, i dały się słyszeć szepty:

— To aktor, aktor...

— Kto to? kto to?

Twarze słuchających, jakgdyby wzburzonych, poruszyły się.

— Oto!...—pomyślał sobie.

I podniósłszy głos, rzekł znowu:

— Oto patrzajcie: aktor, chociaż nawet w powozie, pozostanie zawsze aktorem, ja zaś — w jakichbym był lachmanach—jestem tym, co szerzy zasady wiary.

Spojrział wokoło i po lewej ręce na pagórkę „świętego lisa“ ujrzał eleganckiego mężczyznę w długim paltocie. Co prawda, miał on wąsy, lecz zdawał mu się być niezawodnie tym, który opiekował się nim przez czas pewien po jego przybyciu do stolicy.

Jakgdyby zawstydzony, uczuł, że mu zakipiała krew w głowie. Za chwilę przeniknęły go dreszcze.

— Nie wytrzymam; ucieknę! — pomyślał i obejrzał się, lecz — o szczęście — przekonał się, że to był kto inny.

— I wy też, uklękawszy przed Bogiem, żałujcie za grzechy wasze i proście przebaczenia, a...

Mężczyzna w ubiorze stalowego koloru, z białym pasem, w kapeluszu z przedziałem i w złotych binoklach, otoczony przez trzy czy cztery na gejsze wyglądające kobiety, zeszedł ze wzniesienia obok świątyni „Czystej wody“ i wszedł między słuchających.

— Patrzcie: *Kami sama!**) — krzycząc tak, zbiegła gromadka ludzi z pagórka „świętego lisa“, ujrawszy zapewne czerwoną chorągiewkę, znak niepokoju i niebezpieczeństwa. **)

Pewien młodzieniec, w mundurze ze złotymi guzikami, mówił do swego towarzysza:

— Dostyc już, dostyc! Jeżeli jednak pomimo tego zimna chcesz jeszcze słuchać niedorzeczności chrześcijan, to idź lepiej do kościoła — i odchodząc sam, zachęcał go również do odejścia.

Jednocześnie słuchający zaczęli się rozpraszać w kierunku ulicy Hirokodzi i stawu Szinobazu.

Słońce już chowało się za tarasy Hongo, i odbijając się w ozłoconym stawie Szinobazu, zafarbowало na różowo poręczę świątyni „czystej wody“.

*) Bóg chrześcijan.

**) Misjonarze chrześcijańscy, chcąc zebrać słuchaczy, w pewnym miejscu zatykają w ziemię czerwoną chorągiewkę.

912 AP 6
327032

Wiatr oziębził się nagle.

Misjonarz gniewał się, zachęcał i krzyczał na przemian, lecz nie było nikogo, ktoby pozostał.

— A! czuję już głód...

Słuchacze, też zapewne upomnieni głodem, śpieszyli do swoich domów.

— Ile osób przez cały dzień zdobyć mogłem? Czyżby z powodu mej słabej wiary kazanie pozostawało bez skutku? Dlaczego ja... — myśląc tak, uprzętał wetkniętą chorągiewkę.

Tuż obok—w sklepiku—handlująca herbatą kobieta uprzętała również swój kramik.

Tak, to rzemiosło.

Wiara się ma nie zachwieje; lecz dlaczegożby rzemiosło moje nie dało się zmienić?

Pograżony w takich myślach, depcząc po opadłych liściach, skierował się na ulicę Hirokodzi, gdzie widać było iluminację, upiększone sklepy i w pośpiechu wsiadających i wysiadających z tramwajów elektrycznych mieszkańców stolicy.

KSIAŻNICA LITERACKA № 2

znajduje się w sprzedaży od d. 10 stycznia

r. 191

ANI

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

PŁ

CM KEK 327032

Cena kop



000-327032-00-0